

Jerzy Kowalewski

K.L. Auschwitz Nr 31119

K.L. Gross-Rosen Nr 2751

Nie można zapomnieć

Do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen dowieziony zostałem w grupie 500 więźniów z obozu koncentracyjnego Auschwitz. Transport nas odnotowano w Gross-Rosen pod datą 6 czerwca 1942 roku.

Trasę pomiędzy obozami odbyliśmy w wagonach towarowych. Na stacji przeznaczenia odebrali nas od konwoju esesmani z miejscowego obozu. Nowi nasi oprawcy już na dworcu kolejowym pokazali nam przedsmak tego co nas czeka za drutami obozu.

Drogę ze stacji odbyliśmy pieszo. Wiodła ona przez miaszeczek. Miejscowa ludność nie okazywała nam bynajmniej sympatii ani współczucia. W drodze do obozu minęliśmy kamieniołom, o którego istnieniu nikt z nas nie wiedział. Jego widok stanowił pierwszy, złowrogi znak na naszej nowej "drodze życia".

Wśród krzyków i bicia przekraczaliśmy obozową bramę. Ceremoniał związany z przyjmowaniem transportu trwał wiele godzin. Na bloku powitał nas blokowy kolejną porcją szykan i bicia. Towarzyszyli mu i inni blokowi funkcyjni. Najgorsze było jednak jeszcze przed nami.

Więzień w obozie nie mógł pozostawać bez pracy. Praca czekała na nowe ofiary. Największą grupę z naszego transportu przeznaczono do robót w kamieniołomie. Najlepiej trafili ci, których wyznaczono do nowo tworzonego komanda - Steinmetzlehrlinge -. Do tej grupy trafiłem i ja. Mieliśmy się uczyć obróbki bloków granitowych. Jak na panujące w obozie warunki, tu było jeszcze najspokojniej. Pracy nie musieliśmy wykonywać biegiem, nie pracowaliśmy na otwartej przestrzeni, nie istniało tu powszechnie, niczym nie ograniczone bicie, a to już było bardzo dużo dla nadziei uratowania życia.

Zamierzenie władców kamieniołomu aby wykorzystać nas jako fachowców nie szło jednak w parze z warunkami istniejącymi w obozie. Na skutek głodu i terroru esesmanów i funkcyjnych opadaliśmy coraz bardziej z sił. Coraz częściej nękać nas zaczęły różne choroby. Stawaliśmy się coraz mniej przydatni do ciężkiej pracy. Coraz częściej ubywać zaczęli więźniowie i z tego komanda. Rosła śmiertelność.

Skierowani do pracy w kamieniołomie zajmowali od początku blok 7. Funkcję blokowego pełnił więzień Niemiec zwany w obozie Knobel. Było to jego przezwisko. Nie należał on jeszcze do najgorszych. Grupie Steinmetzerów wydano nawet bieliznę pościelową. Były to jednak tylko pozory dbałości o nas.

W transporcie naszym było kilku więźniów Niemców. Rozpowszechniali oni wśród miejscowych funkcyjnych fałszywe informacje, że w obozie Auschwitz wszystkie funkcje opanowane są przez Polaków, którzy mordują więźniów Niemców. Te pomówienia wzmacniały tylko represje wobec Polaków.

Decydujący wpływ na losy więźniów w obozie wywierał swym postępowaniem ówczesny lagerführer, untersturmführer SS, Anton Thumann. Należał do najkrwawszych oprawców nie tylko w obozie Gross-Rosen. Zнали go dobrze więźniowie Sachsenhausen, a później Majdanka i Neuengamme. Po wojnie dosięgła go kara śmierci.

Załoga SS i funkcyjni nie tylko starali się dorównać Thumannowi w mordowaniu, ale i prześcignąć. W tym czasie funkcje blokführerów pełnili tacy znienawidzeni esesmani jak: Schrammel, Dreeskaulis, Juchelek, Jerzak, Galatsch, Hinze, Witting. Raportführerem obozu i pierwszym pomocnikiem Thumanna był Helmut Eschner. Wśród kapów byli: Lipineky, Pikiel, Prill, Vogel, Katschyska i wielu innych.

Na skutek obozowych warunków, w końcu 1942 roku w komandzie Steinmetzlehrlinge pozostało zaledwie kilkudziesięciu więźniów. Zostałem również wyrzucony z tej grupy przez kapo za niedokładne wykonywanie pracy. Wykonywaliśmy wówczas w pierwszym okresie krawężniki drogowe. Kilka dni pracowałem w kamieniołomie przy dźwigu, a następnie w kolumnie transportowej. Przy tej pracy więzień nie wytrzymał długo.

Los jednak nie opuścił mnie. Jakimś szczęśliwym trafem przydzielony zostałem do obozowego komanda elektryków. Tutaj wraz z innymi budowałem stałe ogrodzenie wokół obozu. Było to małe liczbowo komando fachowe i nie praktykowano w nim tak masowych represji. Na szczęście kapo Willi Michalsky nie wykazywał skłonności sadystycznych.

Po pewnym czasie jednak dostałem tyfusu i znalazłem się w obozowym Rewirze. Znowu otarłem się o śmierć. W tym czasie, w obozowym Rewirze /baraki szpitalne/ pracował polski więzień, lekarz Kazimierz Hałas. Był niezwykle oddanym dla współwięźniów. Jego możliwości działania były jednak ograniczone nie tylko brakiem środków farmakologicznych, ale i postępowaniem funkcyjnych rewirów. Niejeden z tych co przeżył obóz ma mu wiele do zawdzięczenia. Kilkutygodniowy okres pobytu na Rewirze pozwolił mi przetrwać ten trudny dla mnie okres.

W lutym 1943 roku, dotychczasowego lagerführera Antona Thumanna przeniesiono do obozu na Majdanku. Cały obóz odetchnął. Jego następca, hauptsturmführer SS Walter Erneberger złagodził terror obozowych funkcyjnych. W tym czasie więźniowie uzyskali zezwolenie na otrzymywanie paczek z poza obozu. Coraz bardziej zaczęliśmy wierzyć w przetrwanie obozowej gehenny. Niemcy przeżyli też szok klęski pod Stalingradem.

W barakach rewirowych, co kilka tygodni przeglądu chorych dokonywał lekarz SS-man. On decydował, czy chory mógł jeszcze pozostać, czy winien być skierowany już do pracy. Nie interesował go bynajmniej stan zdrowia więźnia, a jedynie czas pobytu w rewirze. W czasie takiej wizyty usunięty zostałem z Rewiru, chociaż byłem jeszcze bardzo słaby.

Znałem trochę język niemiecki, więc skierowano mnie jako sprzętacza do baraków esesmańskich. Robota spokojna, a i jedzenie można było dodatkowo zdobyć. Zaaklimatyzowałem się w tym nowym miejscu pracy, którego zazdrościło mi wielu więźniów niemieckich.

Pod koniec 1943 roku zostałem zadenuncjonowany przez współwięźnia Niemca. Wydał mnie, że słucham radia i zakazanych audycji. Tym razem trafiłem do komanda kanalbau. Budowaliśmy rurociąg do obozu.

W lutym 1944 roku opuściłem obóz transportem do obozu koncentracyjnego Dachau.

Ze wszystkich przeżytych obozów koncentracyjnych, Gross-Rosen był najgorszym w moich wojennych losach, zwłaszcza za czasów Antona Thumanna. Nie zostawiał on więźniom żadnej nadziei na przetrwanie. W rzemiośle mordowania Thumann szkolił nie tylko esesmanów, ale całe zgraje funkcyjnych. Najbardziej zbrodnictwami typami obsadzał obozowe funkcje. Trzeba było mieć dużo samozaparcia i troski ze strony kolegów, aby można było przeżyć okres Antona Thumanna. Wielokrotnie jak i inni ocierałem się o śmierć. Wśród więźniów z naszego transportu wykształciło się solidarne środowisko. Od lata 1943 roku niektórzy z naszych kolegów dostawali się już na różne obozowe funkcje i mogli ułatwiać innym obozowe życie.

Olbrzymią rolę odegrały nadsyłane przez rodziny i przyjaciół paczki żywnościowe. Ich zawartość ułatwiała także wpływanie na niejednego obozowego funkcyjnego. Składane im prezenty ułatwiały załatwianie różnych spraw. Pozwalało to na ratowanie współwięźniów od bicia lub umieszczenie w bardziej spokojnym miejscu pracy. Poczestunkami więźniów nie gardzili też niektórzy blokführerzy.

Kiedy wywożono mnie do Dachau, w obozie pozostawało jeszcze kilkudziesięciu więźniów z czerwcowego transportu. Można zastanawiać się, czy to mało - czy dużo? Uważam, że była to ta garstka, która miała szczególnie silną wolę przetrwania, a przy tym również dużo szczęścia. Byli to koledzy bardzo aktywni w przeciwdziałaniu zbrodnictwom niebezpieczeństwom. Każde też działanie zmierzające do podtrzymania wiary w przetrwanie miało kolosalne znaczenie. Zawsze dobre wiadomości i pogodę ducha mieli dla nas Józef Lipka i Roman Olszyna. Nawet kiedy było najciężej nigdy nie widziałem w nich żadnego załamania. Zawsze było z nimi o czym porozmawiać.

Wspomnieć też pragnę kilku kolegów spoza transportu z Auschwitz, którzy swą postawą w obozie zasłużyli na wymienienie. Na szacunek zasługują zwłaszcza koledzy: Foik, Lebida, Lewandowski, Szostak, Białek, Doliński, Hałas, których staż więziarski w obozie Gross-Rosen był o wiele dłuższy niż nasz.

Bolesław Włodzimierz Lewicki

K.L. Auschwitz Nr 810

K.L. Gross-Rosen Nr 2582

Poczekalnia śmierci

W Gross-Rosen baraki i cały obóz położone były na zboczu góry kamieniołomowej, biegnąc w dół do bagnistej chyba łąki. Za łąką był nieduży las i teren znowu podnosił się. Na samym dole, tuż przy drutach, nieduży prostokąt terenu był zastawiony, jak jakaś mikroskopijna widownia teatru, wąziutkimi ławkami. Były to po prostu deski oparte na wbitych w ziemię palach, ale tak blisko siebie ustawione, że gdy siedziałeś tam, czułeś na nerkach ucisk kolan tego co siedział z tyłu, sam zaś kolanami wwierałeś się w kogoś poniżej. No i ściśnięte łokcie z prawej i z lewej, bo na ławeczkach było przeważnie więcej siedzących niż miejsc. Nie wolno było rozmawiać nawet szeptem, ani ruszać się bo pilnujący kapo bił natychmiast długą żerdką. Że z góry leje deszcz, albo że piecze słońce - to nie ma znaczenia. Bo to właśnie była kuracja, lagrowy przepis dla rekonwalescentów. Bo ci siedzący - to chorzy, a ten pilnujący z żerdką - to "pielęgniarski", a całe to miejsce wraz z opisanym obrządkiem - to tzw. schonung obozu Gross-Rosen. Słowo schonen - znaczy: chronić, osłaniać. A więc swego rodzaju zabieg kliniczny. Ale w gruncie rzeczy była to zwyczajna poczekalnia "Häftlingów", którzy w rewirze obozowym jako szczyt łaski leczniczej "dostali schonung", prowadzono po apelu na to dziwne miejsce z ławki. Tam siedzieli, sieni deszczem, wiatrem lub upałem, bodąc się permanentnie kolanami i łokciami, bez ruchu i bez słowa, od apelu do apelu, byle rychlej nadeszła noc na własnym bloku. A na drugi dzień to samo. W tej sytuacji "kuracja" była czymś gorszym od pracy w komandzie.

Siedziałem aż dwa dni w tej okropnej poczekalni. Mimo że byłem przedtem dotłuczony do granic wyobraźności i - zdawałoby się - wytrzymałości. Czekałem na urwanie się z schonungu, na rzec o pracy, choćby w kamieniołomie. Stało się inaczej - jak zwykle w takich wypadkach: metafizyka i cud. Trzeciego dnia sam straszliwy legerführer Thumann wybrał wśród kilkudziesięciu innych i mnie do transportu do Dachau. W tym wypadku było to ocalenie.

W ciężkich, tragicznych chwilach nieraz zdarza się, jak u Szekspira: coś się dopłata komicznego. Tak zdarzyło mi się i w Gross-Rosen, choć samo wspomnienie o tym obozie gniotące jest i trudne do zniesienia. Pisałem do rodziny - a korespondencja z rodziną była tu, o zgrozo, obowiązkowa - "jestem zdrowy i krzepki", co miało się właśnie z prawdą, ale stylistyka obowiązująca musiała być zachowana.

W obozie trzeba było się ratować, choćby przez lepszy przydział pracy. Nauczony złym doświadczeniem z deklarowaniem przeszłości inteligentkiej, w tym obozie przy urzędowym przyjęciu do obozu podałem jako zawód: Filmtechniker, co okazało się wielką, jakby nie było, lekkomyślnością. W poprzednim, przedwojennym wcieleniu studiowałem wprawdzie - w trybie fakultatywnym - tech-

nikę kina u Witolda Romera na lwowskiej politechnice, umiałem obchodzić się z kamerą filmową, ukończyłem nawet organizowany przez PAT-a kurs wyświetlania filmów 16-kowych, wszystko to jednak nie pomogło mi ani odrobinę w kłopotach, które mnie czekały. Zarejestrowany przez schreibera zawód nie uchronił mnie od ciężkiej bieganiny z taczkami i łopatą, gdzie straszny Harry Lipiński pałąk i wrzeskiem wyciskał z nas siódme poty. Gdy więc po paru tygodniach, pewnego popołudnia przybiegł na komando łopaciarzy lauffer z arbeitseinsatzu i wywołano mój numer, zdziwiłem się, ale i ucieszyłem jednocześnie, bo każda bowiem przerwa i odmiana w beznadziejnej bieganinie z obciążeniem musi cieszyć. Aliści tuż za krótkotrwałą radością wyłoniło się zmartwienie. Bo cóż się stało? W miasteczku Grosse-Rosen zachorował nagle jedyny kinotechnik, a kino miejscowe miało tego dnia zamówiony seans dla Hitlerjugend /Góry w śniegu/ i zaraz potem drugi - dla załogi esesmańskiej /Serce pod kotwicą/. Oba te tytuły, oczywiście w niemieckim brzmieniu, będę pamiętał chyba przez całe życie. Bo cóż się stało?

W rejestrze zawodów häftlingowskich wyczytano, że jest jakiś kinomechanik /to było właśnie przy moim nazwisku/, no więc biegiem do miasteczka, post z karabinem biegł również i do roboty. Po drodze truchlałem już częściowo, ale do reszty zamarłem ze strachu w samej kabinie. Coś tam rozumiałem się na technice kinowej i sam rzut oka na sterczący samotnie, stary, zdezelowany aparat Ernemanna do tego z zepsutą regulacją węgla w lampie łukowej - wystarczył. Ale dobiegający z sali jazgot zebranych już hitlerjungów i perswazje dyżurnego esesmana: "Dalej, prędzej, ruszaj się, ty świński psie" - nie pozwoliły na rozmyślenia i wątpliwość 1.

Założyłem jakoś taśmę, puściłem w ruch aparat, rozpięty na nim jak na krzyżu, bo z jedną ręką na kremarierze, a z drugą na ręcznym regulatorze węgla w lampie. I w tej sytuacji, gdy ani mowy o tym, by spojrzeć przez okienko na ekran, z sali dobiega mnie ryk radości umundurowanych podrostków i już do kabiny wbiega esesman, krzycząc: Zatrzymaj, natychmiast zatrzymaj!" i kopiąc mnie w różne, dostępne jego nodze, części ciała. A ja nie mogę spełnić jego życzenia, ponieważ nie wiem, jak zatrzymuje się Ernemanna, a boję się zapalić taśmę i spalićabinę. W rezultacie esesman wrzeszczy, film leci dalej, aż się rolka skończy, a ja już widzę w okienku, że pomyliłem najoczywistej rolki, ponieważ na ekranie miotają się w objęciach marynarzy jakieś bardzo porozbierane detale dziewczęce.

Gdy rolka dobiegła końca, udało mi się jakoś zatrzymać aparat - na tym jednak nieudanym debiucie skończyła się moja lagrowa kariera kinomechanika. Odesłano mnie natychmiast z powrotem do obozu. Ile tu jeszcze dostałem w zęby... Ważne jednak, że wrócono mnie już nie do łopaciarzy, gdzie był mój dotychczasowy przydział, ale - o dziwo! - do komanda elektryków /gdzie był kapo Michalsky, z kośćmi dobry człowiek/. Rugający mnie esesman z arbeitseinsatzu uważał najwidoczniej, że skompromitowany kinomechanik zdegradowany być winien na elektryka.

Pewnego ranka, tuż po apelu, sam Thumann wezwał całe komando elektryków i zarządził natychmiastowe sprawdzenie trzeciej fazy w potężnym drucianym płocie, okalającym cały obóz. Każdemu z elektryków komanda przydzielono odcinek obejmujący kilka słupów betonowych, na których naciągnięte były druty i zarządzono pośpiech. Wzdłuż całego terenu tej roboty przechadzali się kontrolujący esesmani. Nie muszę opisywać jaki kłopot wynikł ze mną, którego elektrycka fachowość ograniczała się na komendzie do noszenia skrzynki z kablami oraz drabinki. Lekko zaaferowany kapo Michaleky pociągnął mnie za rękaw w możliwie pusty punkt obozu /na dół, za prostokąt schonungowy/ i postawił mnie przy jednym ze słupów wraz z moją skrzynką. "Rób tu cokolwiek" powiedział, odkręcaj dolne izolatory, albo coś, gdy ktoś obleci prędzej ze swoim odcinkiem to zmieni cię". Powiedział, pogonił dalej, zostałem sam. Plecami do terenu obozu, z nosem tuż przy słupie, udawałem sam przed sobą, że coś robię obcęgami. Bałem się nawet żywiej poruszać, bo post z pobliskiej wieży wartowniczej, zaciekawiony, przyglądał się temu, co na dole.

Czas dłużył się bardziej niż bardzo. Niby epokój na tym i rzeczywiście pustawym - odcinku. Za drutami łąka, za łąką lasek, śmigają nisko jaskółki, ja postukuję cichutko flachcengami o dolny izolator. Leciutko, aby nie natrafić na coś naładowanego prądem. Nawet nie wiem, czy wyłączony i co jest z tymi fazami. Nagle gdzieś za plecami kroki, nareszcie ktoś z prawdziwych elektryków nadobodzi... Odwracam się - a tu w efektownym rozkroku zatrzymał się jakiś scharführer. Melduję się, bo co innego mogę uczynić: "Häftling 2582" "Mach weiter, mach weiter" "przerywa mi i patrzy. Odwracam się do słupa i zaczynam coś dudrać obcęgami przy izolatorze. Mija wieczność, za plecami cisza. Okropne, nie do wytrzymania. Wreszcie słyszę: "Du" - robię w tym zwrot jak na mustrze, czapkę sprężyste zrywam z głowy - a on wcale nie rozszłoszczony, pyta tylko z niejakim zaciekawieniem w głosie: "Was bist du eigentlich von Beruf?". Ze strachu zdobywam się na dziwny nowotwór językowy, no i zawodowy. "Filmkinoelektriker" - krzyknąłem głośno. Scharführer zaczyna się śmiać, wpierw cicho, potem coraz głośniejsze. A potem mówi: "Filmkomiker bist du vielleicht, bestimmt aber kein Elektriker" - i dopiero teraz zawrzeszczał z całej siły: "Kapo, Kapo nimm den Idioten weg!" I na tym się skończyło. Nawet numeru nie kazał zapisać - jak by to nie było w Gross-Rosen. Głowy nikt mi nie uciął, bo paru kopniaków pro forma nie warto nawet pamiętać.

Głowę wraz z życiem straciłbym dopiero pamiętnego /dla mnie oczywiście/ ósмого sierpnia 1942. Śmierć była wówczas o parę milimetrów ode mnie - w scenarii groźnej, okrutnej i po niemiecku komedianckiej. Nie była mi jednak, jak się okazało, pisana. Nie warto więc mówić o powodach i detalach. Przed tym faktem jednak --i po nim - sprano mnie tak dokumentnie, że już się z tego w trybie normalnym nie pozbierałem. Owego dnia, na placu apelowym, przed frontem stojących w szyku wszystkich bloków - ocalałem, a wykończyłoby mnie - dosłownie i fizycznie - parę dni schonungu, przyznanych mi "dla poratowania zdrowia". Na szczęście - jak wspominałem - dołączono mnie do transportu do Dachau. Tam dopiero stanąłem na nogi.

/Wyjętek z książki - Wiesz jak jest - Wyd.Łódź
Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.46.

Powracająca pamięć

Komin krematoryjny w obozie koncentracyjnym w Auschwitz dymił bez przerwy. To przez ten komin wyznaczały władze obozowe naszą drogę do Wolności. Nikt z nas w tym obozie nie mógł sobie wyobrazić, że mogą istnieć jeszcze bardziej tragiczne obozy. Kiedy więc szykowano transport z obozu, zapragnąłem opuścić w nim K.L.Auschwitz. Przy wyborze więźniów do transportu i ja znalazłem się w ich gronie. Uważałem ten fakt za okoliczność szczęśliwą. Tak też w dniu 6 czerwca 1942 roku rozpocząłem nowy rozdział w więziennym życiu, jako więzień obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, numer 2765.

Już w dniu dotarcia do Gross-Rosen zacząłem jak i inni poznawać istniejącą tutaj rzeczywistość i to zaraz po przejściu obozowej bramy. Obozowi funkcyjni, widząc nas w cywilnych ubraniach, spodziewali się u nas nie wiadomo jakich kosztowności. Namawiali do ich oddania, zanim nam ją odbiorą esesmani. Były to naiwne marzenia, gdyż ze wszystkiego już dawno nas ograbiono w obozie Auschwitz.

Po rozebraniu się do naga i pozostawieniu wszystkich rzeczy na placu, po kilkunastu pędzono nas przy nieustannych krzykach i biciu do bloku 9, gdzie ustawiony był zbiornik wypełniony wodą, spełniający rolę kąpieliska. Z gorącą wodą zmieszany był lizol. Na wychodzących ze zbiornika więźniów kierowano pod dużym ciśnieniem wodę z węży parcianych. Tak się z nami zabawiali obsługujący nas obozowi funkcyjni. Dalesze tortury i szczyty trwały podczas strzyżenia i golenia. Każdy z nas wychodził z tych zabiegów pokaleczony. Godne oprawców było także powitanie urządzone nam na bloku. Cekał nas, po zakończeniu formalności przyjęcia do obozu, jeszcze przydział pracy.

W Gross-Rosen istniały w zasadzie dwie główne grupy robocze: pierwsza to kamieniołom i druga potrzebna dla rozbudowy i utrzymania porządku i obsługi obozu. Tylko nieliczna grupa więźniów pracowała dla potrzeb załogi esesmańskiej.

Niestety, mnie przydzielono do pracy w kamieniołomie, do kolumny transportowej. Praca ta szybko wyniszczała siły. Załadowanie i wywóz kamieni odbywał się w morderczym tempie. Nikt tu długo nie wytrzymał. Śmiertelność w kamieniołomie była duża. Niedługo też wytrzymałem przy tej robocie, powiększyłem liczbę chorych w obozowym Rewirze.

W niedługim czasie po przywiezieniu naszego transportu, ówczesny blokowy Hans Wessel, zamiłowany w muzyce, czynił u władz obozowych starania o utworzenie obozowej orkiestry. W naszym transporcie znalazło się kilku kolegów grających na różnych instrumentach. Wyszukał nas Wessel. Zdawaliśmy przed nim egzamin z umiejętności. Ja składałem go z umiejętności gry na skrzypcach. Pomimo, że miałem bardzo pokaleczone dłonie na skutek pracy w kamieniołomie, próba mojej gry wypadła pomyślnie.

Z mego transportu Wessel zakwalifikował do zespołu jeszcze: Czesława Bobera, Jana Piegzę, Tadeusza Romańskiego. Kilku szczęśliwców wybrano z pozostałych więźniów obozu. Wszystkich nas przeniesiono na blok 2, w którym Wessel pełnił funkcję blokowego. Byliśmy teraz po jego opiece, abyśmy mogli ćwiczyć i grać. Na bloku dostawaliśmy dodatkowe porcje zupy. Zmieniono nam przydziały pracy na bardziej spokojne i nie powodujące zwłaszcza okaleczeń rąk. Dzięki temu trafiłem do komanda elektryków. Kapem komanda był Willy Michalsky. Mówił on po polsku, ale lubił podkreślać, że jest reichsdeutschem.

Ze względu na dbałość o muzyka otrzymałem pracę przy zakładaniu przewodów elektrycznych w barakach obozowych. Jako komando fachowe dostawaliśmy tzw. drugie śniadanie /frysztik/. Były to dwie małe kromki chleba, posmarowane margaryną lub mielonym, końskim mięsem. Wydawano je o określonej porze dnia w komandzie pracy.

Mimo powszechnie panującego w obozie głodu, nawet te niewielkie porcje były okradane przez funkcyjnych. Czynił to także zastępca kapy naszego komanda. Przed ich rozdaniem odkrawał z każdej porcji drobne kawałki. O tym fakcie poinformowałem kapo. Efekt końcowy nie był dla mnie pomyślny. Przywołani winowajcy, więźniowie niemieccy wyparli się zarzucanych im czynów. Michalsky uznał mnie za osobę niegodną zaufania, rzucając oskarżenie na Niemców. Za karę otrzymałem lanie i zostałem przeniesiony do robót związanych z budową obozowego ogrodzenia.

Po pracy każdy z nas starał się ćwiczyć w graniu. W soboty po południu i w niedziele odbywały się próby zespołowe. Wieczorami Wessel rozpisywał nuty na różne instrumenty. Niedostateczne oświetlenie nie ułatwiało mu tej pracy. Wiedząc, że pracuję jako elektryk zażyczył sobie zrobienia mu oświetlenia na stole. Nie mogłem nie spełnić. Kiedy o wykonanej pracy dowiedział się Michalsky wpadł w złość. Za wykonanie każdej "fuchy" kapo brał od blokowych różne podarunki. Tym razem to go ominęło. Nie ominęło natomiast mnie bicie.

W komandzie elektryków panował zwyczaj, że po zakończonej pracy, wszystkie narzędzia trzeba było zdać. Były one zamykane w specjalnej skrzyni, a klucz od kłódki zabierał kapo. Pracowałem już przy budowie ogrodzenia, kiedy w komandzie zdarzył się kiedyś dotychczas niespotykany wypadek: w czasie wieczornego apelu stwierdzono brak jednego więźnia. Władze obozowe uznały, że nie mógł on opuścić terenu obozowego i gdzieś ukrył się. Zaczęły się poszukiwania. W czasie tych poszukiwań znaleziono obok ogrodzenia nożyce do cięcia drutów. Było to przewinienie, które nie mogło ujść bezkarnie i wiązało się zawsze z podejrzeniem o zamiar ucieczki. Całe nasze komando zebrano przed blokiem schreibstuby. Z zapowiedzi Antona Thumanna wynikało, że całe komando otrzyma należną karę chłosty. Nie pomogły nawet Michalskiemu tłumaczenia, że jest niewinny. Otrzymał jako pierwszy 25 batów. Biło dwóch niemieckich funkcyjnych. Karę taką otrzymał też jego zastępca Fritz Teufel. Szczęśliwie jednak kary uniknęli pozostali więźniowie komanda. Przeprowadzono bowiem szukanie więźnia. Ukrył się w beczkowie, którym wywożono nieczystości z obozowej latryny poza teren. Eesemani zabili go kopniakami i biciem.

W komandzie elektryków dotrwałem do ewakuacji obozu. Z upływem miesięcy powiększał się skład obozowej orkiestry. Nasz kapelmistrz Wessel dumny był z zespołu. Często orkiestra grywała

wieczorami w obozowej kantynie, a nawet w kantynie esesmańskiej. Pod opieką Wesselego czuliśmy się pewniej.

Na przełomie stycznia i lutego 1945 roku dochodziły do obozu odgłosy artylerii i huki wybuchów bomb lotniczych. Front był bardzo niedaleko Gross-Rosen, a wraz z tym rosły nadzieje na nasze wyzwolenie. Niestety była to tylko nadzieja. Władze obozowe zarządziły bowiem ewakuację więźniów, 10 lutego wyruszyliśmy na stację kolejową. Okazało się, że kolejarze nie podstawili wagonów. Wieczorem zarządzono powrót do obozu. Nie wszyscy jednak powrócili o własnych siłach. Trupy zastrzelonych zwieziono do obozu. 11 lutego ponownie wyprowadzono nas na stację. Tym razem załadowano nas do wagonów - węglarek i powieziono w nieznane. Dzięki staraniom Wesselego cała orkiestra załadowana została do jednego wagonu. Był to transport śmierci. Pod opieką Wesselego tylko obozowa orkiestra przeżyła ten transport bez śmiertelnych strat. Wyzwolenia doczekałem w dniu 8 maja 1945 roku w obozie Leitmeritz, podległym komendanturze obozu koncentracyjnego Flossenbürg.

Numer archiwum Gross-Rosen 4.6.48.